

„Kościół nie jest zbiorem indywidualistów”

z Jackiem Prusakiem, SJ
rozmawiają Michał Larek
i Marek Wasilewski

Jacek Prusak
fot.: Marek Wasilewski



Został wskrzeszony mit, że jedynie osoby niereligijne są myślące, a ci, którzy wierzą, albo nie myślą, albo nie mają na to odwagi...

Michał Larek: Jak Ksiądz reaguje na wieści o kolejnych aktach apostazji?

Jest to dla mnie przykre doświadczenie, kiedy dotyczy katolików. Apostazja jest przecież oficjalnym zerwaniem z chrześcijaństwem i Kościołem. Dlatego jest czymś fundamentalnym. Często zastanawiam się, dlaczego do tego doszło, czy musiało do tego dojść. Głęboka, radykalna apostazja, taka jak Tomasz Węclawskiego (dzisiaj Polaka), daje do myślenia. To jest coś, z czym do tej pory nie mieliśmy do czynienia.

M.L.: Co to znaczy: głęboka, radykalna apostazja?

Taka, która bierze się z wniosku, że to wszystko, w czym się wcześniej pokładało nadzieje i na czym się budowało swoje życie, jest fikcją. Chcąc być konsekwentnym i nie chcąc żyć w tej fikcji, muszą ją zakwestionować i odciąć się od Kościoła, mówiąc ogólnie: religijnej instytucji.

Marek Wasilewski: Czy rzeczywiście apostazja to odejście od chrześcijaństwa?

To zależy od tego, jak się ją rozumie. Z badań psychologów religii wynika, że apostaci nie stanowią homogenicznej grupy. Zarówno czynniki socjologiczne, jak i leżący u podłoża apostazji proces przewartościowania dotychczasowego życia nie mają uniwersalnego charakteru. Ogólnie można powiedzieć, że istnieje „miękką apostazja”, która polega na odejściu od uczestnictwa w życiu Kościoła (religijnej in-

stytucji), oraz „twarda apostazja”, która kończy się ateizmem albo agnostycyzmem.

W sensie teologicznym apostazja jest wyrzeczeniem się wiary i odejściem z Kościoła. Węclawski dokonał aktu apostazji i przestał się nazywać teologiem. To jest logiczny krok. Nie można uprawiać teologii, nie wierząc. W innym przypadku mamy do czynienia z religioznawstwem. Stanisław Obirek nie twierdzi, że jest apostatą, tylko religijnym agnostykiem na obrzeżach katolicyzmu. Ale czy można być chrześcijaninem po zakwestionowaniu bóstwa Chrystusa? Można być na marginesie katolicyzmu, jeśli ma się kłopot z instytucją, a nie z Chrystusem. Jego postawa jest spójna, jeśli oznacza, że jest religijnym agnostykiem, któremu blisko do katolicyzmu; natomiast jest dwuznaczna, jeśli uważa się za niezrzeszonego katolika.

M.L.: Według niektórych nie można przebywać wewnątrz instytucji, która zdradza deklarowane wartości. Czy ze słów Księdza nie wynika, że instytucja jest ważniejsza od wiary?

Nie. Ale wiara poza instytucją staje się kwestią prywatnej preferencji, jakąś odmianą fideizmu. Wiara nie jest przede wszystkim samorozumieniem, a Kościół nie jest po prostu wtórnym konstruktem ludzkim, który może istnieć – albo nie – tak twierdzi Klaus Berger, jeden z najbardziej oryginalnych współczesnych egzegetów Nowego Testamentu, którego wysoko sobie cenili Węclawski. I dodaje: Kościół nie stanowi dopiero „drugiego kroku”, lecz w sposób konstruktywny należy do objawienia Nowego Przymierza. Stąd nie można być chrześcijaninem poza Kościołem, chociaż w sensie socjologicznym mówi się o chrześcijaństwie postkościelnym.

Zauważcie, że Obirek powołuje się na progresywnych teologów, którzy, owszem, nie mają prawa nauczać teologii w uczelniach kościelnych, ale jednak pozostają w Kościele. Są równie krytyczni, co Obirek, i najczęściej bardziej zasłużeni naukowo, ale dla żadnego z nich krytyka instytucji nie usprawiedliwia opuszczenia +

Kościół także w aspekcie instytucjonalnym, gdyż pozostali księżmi. Bo dla nich Kościół nie jest tylko instytucją. Obirek to przeczuwa, bo ciągle podkreśla, że jest na obrzeżach katolicyzmu. Ale sprawia wrażenie, że chce definiować, co jest, a co nie jest wiarą katolicką w duchu liberalnej egzegezy i teologii. A to już wykracza poza reformę. Mnie się też nie podobają różne rzeczy w Kościele, ale to nie ja stworzyłem Kościół. On nie jest oparty na mnie. Krytykę instytucji usprawiedliwia miłość do Kościoła, inaczej jest to jedynie emocjonalny protest albo krytyczna analiza instytucji społecznej.

M.L.: Mówi Ksiądz, że Obirek definiuje na swój sposób wiarę katolicką. Rozumiem, że to może się nie podobać hierarchom. Ale gdyby oni byli lepszymi słuchaczami swoich wiernych, wiedzieliby, że większość polskich katolików na własny sposób rozumie (jeśli w ogóle) sens bycia katolikiem. Czy zatem winą Obirka nie jest to, że on po prostu głośno myśli? Myślenie to błędzenie wszakże.

Głośne myślenie nie jest przestępstwem, a wiara szuka zrozumienia. To, że brakuje nam w Polsce otwartej debaty na zasadnicze kwestie związane z wiarą, Kościołem i społeczeństwem – to jedna sprawa. Druga dotyczy sposobu, w jaki chcemy tworzyć ową przestrzeń. Staszek Obirek stawia warunek: „albo będziecie mnie słuchać, albo się na was wypnę”. Z kolei po drugiej stronie da się zauważyć niechęć i ostracyzm wobec kogoś, kto – zdaniem biskupów – na krytyce Kościoła buduje teraz swój wizerunek. Przy takim nastawieniu trudno liczyć na konstruktywny dialog. Trzeba brać również pod uwagę fakt, że Obirek nie przedstawił jak dotąd w sposób systematyczny swojego stanowiska, co utrudnia adekwatną ocenę jego poglądów. Jeśli zaś chodzi o pozostałą większość, to każdy katolik powinien pogłębiać wiarę. Na to, że jest ona wybiórcza albo nie nastawiona na refleksję, ma wpływ wiele czynników.

M.W.: Ludzie wierzą, bo są ochrzczeni, bo rodzice wierzą, bo wierzy społeczeństwo.

Wierzą, bo są zanurzeni w pewną opowieść. W zależności od tego, na ile ta opowieść jest dla nich centralna i ukierunkowuje ich życie, na tyle będą zastanawiali się nad poszczególnymi filarami. Owszem, z badań socjologicznych wynika, że polscy katolicy wierzą w sposób niepogłębiony.

M.L.: To jest eufemizm, proszę Księdza. Polscy katolicy nie są zainteresowani pogłębieniem wiary. Ich wyobrażenia na temat „centralnej” opowieści są często heretyckie. Czyż nie są zatem utajonymi apostatami?

Oni nie kwestionują prawd wiary, raczej są indyferentni w jej przeżywaniu.

M.L.: Bo się nad nią nie zastanawiają.

Wątpliwości nie są oznaką apostazji. To zdaniem rzeczników trzeciej fali ateizmu, którzy są bardzo agresywni i medialni, został wskrzeszony mit, że jedynie osoby niereligijne są myślące, a ci, którzy wierzą, albo nie myślą, albo nie mają na to odwagi, tak więc ich wątpliwości to oznaka tchórzostwa, a nie zmagania się z prawdą. Ludzie w różny sposób zastanawiają się nad wiarą, nie tylko dlatego, że ich ona ogranicza, ale również dlatego, że jej nie znają. Polscy katolicy statystycznie często mówią o reinkarnacji zamiast zmartwychwstaniu. Ale to jest artefakt. Mówiąc o reinkarnacji, mają na myśli to, że człowiek będzie miał po śmierci drugą szansę, żeby opowiedzieć się za Bogiem. We wschodnią ideę reinkarnacji wierzy mało katolików.

M.L.: A czy nie jest tak, że katolik nie tyle wierzy, ile praktykuje (i deklaruje, że wierzy)?

Ludzie praktykują, tak jak wierzą. To wyraża starożytna formuła: *lex orandi, lex credenti*. Jeśli nie praktykuję, to moja wiara jest jedynie przygodą intelektualną, w której „Bóg nawiedza moją myśl”. Jeśli tylko praktykuję, ale nie

reflektuję nad wiarą, to ryt i przeżycia emocjonalne utożsamiam z Bogiem, a to jest idolatria.

M.W.: Wielu ludziom kwestia wiary jest całkowicie obojętna. Co więcej, niektórzy z nich to wewnętrzni apostaci, którzy się nie ujawniają dla świętego spokoju.

To jest złożona kwestia, która w socjologii religii przybrała postać sporu o sekularyzację. Rzeczywiście, w Europie Zachodniej, poza nielicznymi wyjątkami, obserwujemy, z jednej strony, coraz częstsze odchodzenie od Kościoła, a z drugiej, narastającą falę osób obojętnych religijnie. Nie są to klasyczni ateści, bo tych religia bardzo zajmuje, ale osoby, dla których Bóg jest zbędną hipotezą. Byłbym jednak ostrożny w wyciąganiu z tego wniosku, że „Bóg umarł” albo chrześcijaństwo zanika. Religia przechodzi transformację, a wiara się deprywatyzuje. Nie są to jednak nieodwracalne procesy.

M.W.: Ale jak tu nie wybiera? W tej samej instytucji są ojciec Rydzyk i ksiądz Prusak. Ich przekazy zaprzeczają sobie. To zahacza o schizofrenię.

M.L.: Właśnie, ta opowieść staje się opowieścią schizofreniczną. Być zanurzonym w schizofrenii kulturowej – to kiepska alternatywa.

Po pierwsze, to, że w ramach tej opowieści można usłyszeć te dwa głosy, wynika z tego, że „katolicki” oznacza „różnorodny”. Ani ojciec Rydzyk, ani ja nie stworzyliśmy katolicyzmu i nie na nas jest on zbudowany. Po drugie, katolickość nie jest sumą jednostek i wspólnot, ale wyrazem świadomego i zorganizowanego pluralizmu. Stąd też nie każda postać katolicyzmu powinna być promowana, dlatego ja różnię się poglądami od ojca Rydzyka.

M.L.: Przekazy duchownych kształtują jednak wyobrażenie o katolicyzmie.

Ojca Rydzyka tak, skoro istnieje jego „Rodzina”. A jeśli ja komuś pomogłem w lepszym zrozumieniu katolicyzmu, to bardzo mnie to cieszy. Trzeba jednak pamiętać, że

wszystkie wyobrażenia o Kościele trzeba konfrontować z Ewangelią, a katolicyzm przeżywać poprzez jedność w różnorodności.

M.W.: Co czuje Ksiądz, kiedy czyta w gazetach o tych wszystkich głośnych aferach?

Źle się czuję, ale nie wpadam w panikę.

M.W.: Nie ma czasem Ksiądz pokusy, żeby to rzucić? Żeby zostać apostatą?

A co by to dało?

M.W.: Może by to wstrząsnęło Kościołem? Tak jak wstrząsnęło wyjście Węclawskiego.

Są lepsze sposoby, aby wywołać „wstrząs”. Natomiast apostazja Węclawskiego była nie tyle wstrząsem, co traumą dla wielu katolików. Trudniej mi ocenić skutki odejścia Obirka i Bartosia. Z pewnością sprawili zawód pewnym środowiskom, które widziały w nich swoich reprezentantów. Czy Kościół w Polsce po ich wystąpieniach radykalnie się zmienia na korzyść lub niekorzyść?

M.W.: Pewnie nie. Może tych protestów jest zbyt mało?

Znany współczesny filozof Alasdair McIntyre twierdzi, że współczesne społeczeństwo uległo pułapce protestów, bo one są oparte na dialektyce władzy. W Kościele natomiast wszystkie reformy zostały przeprowadzone przez ludzi, którzy w Kościele zostali. Aby móc wiarygodnie reprezentować Kościół, nie wystarczy go jedynie rozumieć, ale trzeba również uczciwie stawić czoła jego krytyce i odnaleźć własną drogę do niego – zarówno samodzielną, jak i życzliwą. Głęboka zmiana w Kościele, który przecież nie jest wyłącznie instytucją, dokonuje się w kluczu paschalnym. Osobiste cierpienie jest wpisane w reformę – tego doświadczył Jezus i wytrwał, a rozwój Kościoła nie opiera się na naszych projektach, co najwyżej na naszej świętości, która jest wynikiem współpracy z łaską. +

Chcę podkreślić, decyzje Obirka, Bartosia, Polaka zostawiam ich sumieniu. Jedne z nich mniej, inne bardziej rozumiem. Dla mnie większą moc mają protesty Kunga czy Currana, choć nie we wszystkim się z nimi zgadzam. Oni są przedstawicielami ginącego już pokolenia, które uważało, że siła chrześcijaństwa leży w społecznym aspekcie jego misji, a nie przeżywaniu wiary w pojedynkę. Nie można sobie wziąć urlopu z Kościoła, kiedy staje się uciążliwy.

M.L.: Czy ja dobrze rozumiem? Ksiądz negatywnie ocenia wiarę przeżywaną w pojedynkę?

Nie. Wiara zawsze jest przeżywana w pojedynkę. Trzeba przecież dać osobiście odpowiedź Panu Bogu na jego wezwanie. Ale nie jest to wiara rozumiana indywidualistycznie. Według badań empirycznych ludzie, którzy odchodzą z Kościoła, żeby przeżywać prywatnie wiarę, najczęściej wiarę tracą. Bo czym jest wtedy wiara? Tacy ludzie nie mają dojścia do źródeł, które Kościół ofiaruje poprzez sakramenty, praktyki ascetyczne, duchowe et cetera. Stają się łagodnymi deistami. Jakoś tam wierzą w wyższą istotę, która napełnia świat sensem i miłością, ale nie myślą o niej na tyle osobowo, żeby się do niej modlić czy wiązać z nią określoną religię.

M.W.: Czy Ksiądz wie, co w Kościele duchowni mówią wiernemu? Często jest tak, że główna treść przekazu podczas mszy brzmi: trzeba przychodzić do Kościoła. To jest jak McLuhanowska definicja telewizji: środek przekazu jest przekazem. To jest zapętłona tautologia.

Nie twierdzą, że to nie ma miejsca. Mówię tylko, że występując z Kościoła na znak protestu, człowiek traci źródło, które ma go zasilać. Ten katolicyzm oparty jest tylko na kontestacji, a więc negatywnej identyfikacji. Owszem, Kościół traci wiernych na własne życzenie, ale w nawoływaniu do chodzenia do Kościoła zawarta jest implicite krytyka samowystarczalnej

wiary. Nie bardzo wierzę, aby przeciętny katolik był zainteresowany słuchaniem z ambony krytyki argumentów teologii liberalnej, której naczelnym dogmatem jest uznanie religijnego indywidualizmu za dobro najwyższe.

M.L.: Jestem ciekaw badań empirycznych, które udowadniają, że ci katolicy, którzy pozostają w obrębie Kościoła, rzeczywiście wierzą.

Ja nie powiedziałem, że oni rzeczywiście wierzą. Z badań wynika, że mamy ponad 90 procent ludzi ochrzczonych, a nie nawróconych. W obrębie Kościoła znajdują się więc katolicy o różnym poziomie świadomości wiary i życia według niej. Żeby było jasne, istnieją osoby głęboko religijne, które są poza Kościołem, ale najczęściej czerpią z jego dziedzictwa w sposób, który dla młodego pokolenia jest już praktycznie niedostępny ze względu na słabą znajomość chrześcijaństwa.

M.L.: Ale nie można chyba utożsamiać człowieka, który „wierzy w pojedynkę”, z kontestatorem.

Nie można być chrześcijaninem poza Kościołem, trzeba wierzyć pomimo Kościoła, który nas rozczarowuje.

M.L.: Dlaczego?

Po pierwsze dlatego, że takie są nasze korzenie. Jezus był Żydem, a w judaizmie zawsze chodzi o lud Boży. Tam nie jest możliwy indywidualizm religijny. Po drugie, wspólnota modlitwy, którą założył Jezus, powołując uczniów, stała się zaczątkiem Kościoła. Po trzecie, zbawienie ma wymiar wspólnotowy.

M.L.: Bóg przychodzi tylko do tego, który żyje sobie w jakiejś grupce? Indywidualista go nie interesuje?

Boga interesuje każdy człowiek. Święty Augustyn trafnie powiedział: Bóg ma wielu, których nie ma Kościół, i Kościół ma wielu, których nie

ma Bóg. Nie można jednak zapominać o obietnicy Jezusa: A gdzie dwóch albo trzech zbierze się w imię moje, tam Ja jestem pośród nich. To z pewnością nie jest promocja indywidualizmu religijnego. Więc co innego może to oznaczać?

M.L.: Mam wrażenie, bardzo przepraszam za nie, że to, co teraz Ksiądz mówi, jest przede wszystkim kontestacją przeświadczeń Tadeusza Bartosia z książki „Jan Paweł II. Analiza krytyczna”. Co więcej, pytanie Księdza można odwrócić, pytając: co to znaczy wierzyć w grupie? Głośno przypominać sobie prawdy wiary i recytować kwestie biblijne? Zatem wiara sprowadzałyby się do praktyk mnemotechnicznych i mimetycznych?

Tu nie chodzi o stadne przeżywanie wiary, ale bycie w Kościele jako sakramencie łaski. Poszczególne sakramenty sprawowane w Kościele nie są żadnymi technikami, tylko znakami bliskości Boga. Słuchanie Słowa Bożego to nie jest głośna lektura, ale wydarzenie zbawcze, tak samo jak udział w Eucharystii. Tych znaków świat dać nie może. Ich dewaluacja w imię fideizmu to przejaw subiektywizacji chrześcijaństwa.

M.L.: „Fideizm” to chyba brzydkie słowo?

Nie, to oznacza, że liczy się dla mnie tylko moje doświadczenie i moje rozumienie Pana Boga, najczęściej pojmowanego jako siła wyższa.

M.W.: Ale czy w istocie większość z nas nie jest fideistami?

Chrześcijaństwo jest wyznaniem wiary w Boga Trójjedynego, które wypływa z objawienia Boga w Jezusie.

M.W.: Przecież dobrze Ksiądz wie, że fideizm był istotnym nurtem w obrębie katolicyzmu do momentu potępienia go przez I Sobór Watykański. Chodzi raczej o osobiste doświadczenie przeżywania wiary.

Chrześcijaństwo nie jest zbudowane na osobistym doświadczeniu. To nie jest buddyzm.

Chrześcijaństwo jest doświadczeniem grupy, która wyznawała wiarę w Jezusa jako Mesjasza. Ja nie byłem wśród nich, to nie jest moje doświadczenie. Ja nie dotykałem Chrystusa, nie wiem, jak wyglądał. Moje doświadczenie jest doświadczeniem, w które ja wierzę dzięki tamtej grupie. Moje przeżywanie wiary zawsze konfrontuję z tym właśnie źródłem. Moje osobiste doświadczenie nie jest rozstrzygające. Wyznając wiarę w Kościół, która jednak nie jest tym samym, co wiara w Boga, przyjmuję wiarę przekazaną mi przez Apostołów i ich następców. O tym przypomina nam Credo, którego artykuły głośno przywołujemy w trakcie niedzielnej Eucharystii. Natomiast fideizm został potępiony, kiedy osobiste przeczcucie, do jakiego się odwołuje, postawiono w opozycji do rozumu i objawienia.

M.L.: Źródło wiary jest w Kościele. Czyli gdzie?

W Piśmie Świętym i tradycji. To powiedzą wszyscy chrześcijanie. Katolicy dodadzą, że oba te źródła, w których zawarty jest depozyt wiary, jest w autentyczny sposób interpretowany przez Magisterium.

M.L.: Autentyczny?

Tak – czyli nawiązujący do Apostołów, świadków Jezusa i ich następców.

M.L.: Ale przecież rozumienie tekstu jest zawsze zapośredniczone poprzez interpretację. Nawet tekstu świętego.

Dlatego mówię o interpretacji, która jest zgodna z doświadczeniem tych, którzy chrześcijaństwo zainicjowali. Mówię o rozumieniu rzymskokatolickim. Ale jedno jest jasne dla wszystkich chrześcijan: treścią wiary jest Objawienie, a nie osobiste doświadczenie. To Objawienie jest uchwytnie w Piśmie Świętym i tradycji.

M.L.: Każdy kulturoznawca świeższej daty powie, że osobiste doświadczenie jest zawsze w istotnej mierze doświadczeniem kulturowym. +

Ale te spory humanistyczne nie interesują chrześcijan, bo oni nie opierają swojej wiary na mistycyzmie ani gnozie.

M.L.: Słuchając Księdza i innych prawomyślnych teologów, dochodzę do wniosku, że wasz język ma dużo z dekonstrukcji. Choćby ze względu na to, że główna metafora, źródło, jest radykalnie usieciowiona. Mówiąc o przedmiocie wiary, odwołując się do jej obecności poprzez nieustanne odsyłanie do kolejnych instancji.

W teologii katolickiej depozyt wiary ma jasno określone miejsce. Opiera się na Biblii i tradycji. Obie wymagają interpretacji, stąd ich hermeneutyką zajmuje się Kościół, który od nich się wywodzi i do nich zwraca. To jest koło hermeneutyczne, ale nie tautologia. Przeżywanie wiary jest wejściem w interakcję z depozytem. Kościół rzymskokatolicki powie, że ostateczną instancją interpretacji jest Magisterium, ale ono ma funkcję służebną, pomocniczą. To nie jest równoznaczne z powiedzeniem, że poza instytucją nie można doświadczyć Pana Boga albo się mylić w rozumieniu Objawienia. Chodzi o to, że Kościół nie jest zbiorem indywidualistów, którzy mają większe czy mniejsze natchnienia. Kościół jest wspólnotą pamięci, którą trzeba ożywiać i którą trzeba chronić, a także tłumaczyć.

M.L.: Nie ma Ksiądz wrażenia, że katolicki dyskurs to swoisty retoryczny slalom gigant?

A dlaczego?

M.L.: Bo jednocześnie chcecie ocalić pewne kategorie (źródło, autentyczność, prawda) i uzależnić je od instytucji, jaką jest centrala. To jest niemożliwe z punktu widzenia świeckiego humanisty po tych wszystkich słynnych zwrotach (z lingwistycznym na czele). Stąd podejrzenie, że oscylujecie pomiędzy dogmatyzmem i relatywizmem. Co więcej, wasz „dekonstrukcjonistyczny” czasami dyskurs nie potrafi chyba zatrzymać się i powiedzieć klarownie: oto są nasze prawdy wiary. Tu metafora ściga metaforę, jedna metafora zaprzecza drugiej.

Chyba pan się zagalopował. W teologii katolickiej, tak jak i w innych wyznaniach chrześcijańskich, prawdy wiary są ściśle zdefiniowane i nie są one metaforami. W tym kontekście mówi się o tak zwanej teologii pozytywnej. Istnieje natomiast coś takiego jak rozwój dogmatów.

M.L.: Mam jednak wrażenie, że trudno teologowi zatrzymać się na jakimś konkretnym.

No, ale kto powiedział, że się mamy zatrzymać? Pytanie, czego nie możemy odrzucić. Nie można na przykład odrzucić tego, że Jezus był zarówno Bogiem, jak i człowiekiem. Ale co to znaczy, tego do końca nie pojmę, bo to jest tajemnica. Z powodu rozwoju wiedzy o człowieku i teologii najprawdopodobniej będziemy mieli różne hermeneutyczne narzędzia do interpretowania wielości i złożoności tego prostego wyznania. Ja wcale nie chcę widzieć granicy. Gdybym widział granicę, to nie byłaby to tajemnica, tylko zagadka.

M.L.: Ale formuła Jezus był zarówno Bogiem, jak i człowiekiem może zainicjować bardzo wiele przeciwstawnych wykładni. Wyobrażam sobie bardzo logicznego humanistę, który powie: OK, nie mogę tego zdania zakwestionować, bo nie mam najmniejszego pojęcia, co ono znaczy. Właśnie: ono znaczy wszystko.

Nieprawda. Bo bycie człowiekiem wyklucza bycie rośliną oraz innym gatunkiem zwierząt. Chcąc zrozumieć słowo „mesjasz”, musimy natomiast sięgnąć do tradycji judeochrześcijańskiej. Oczywiście, nie rozwiązuje to wszystkich możliwości, ale nie jest arbitralnym wyborem.

M.L.: W ten sposób znowu zostaliśmy odesłani do potężnej tradycji intelektualnej.

A kto powiedział, że chrześcijaństwo jest prymitywne? Chrześcijaństwo jest ustawicznym stawianiem pytania o Boga, które ma za sobą dwa tysiące lat własnej refleksji. A judaizm, bez którego nie jest zrozumiałe, ma jeszcze

dłuższą tradycję intelektualną. Proszę pamiętać, że niedostępność Bożej tajemnicy stymuluje różne sposoby jej wysłowienia, a kulturowy świat chrześcijaństwa to uniwersum znaków.

M.W.: W tym tkwi nasz problem. My pytamy o punkt oparcia, a Ksiądz mówi, że nie ma takiego.

Ponieważ rozumem możemy dojść do ogólnej idei Boga, ale nie do Trójcy Świętej. Nie oznacza to, że chrześcijaństwo jest jedynie faktem nadprzyrodzonym. Poza tym, gdyby istniał jakiś zewnętrzny punkt oparcia, to oznaczałoby to, iż wiara jest konsekwencją pewnego sylogizmu, a tak nie jest. „Przekonaj mnie, że Bóg istnieje, a w niego uwierzę” to nie prośba o chrzest. Wiara chrześcijańska mówi o sobie ciągle na nowo i ciągle inaczej, ponieważ na przestrzeni dziejów jest na nowo przemyślana.

M.L.: Ciągle myślę o Obirku, który mówi coś podobnego: nie potrafię dokładnie sprecyzować przedmiotu swojej wiary.

Nie sądzę, aby Obirek tak to ujmował. Ja potrafię sformułować przedmiot mojej wiary, on ma kłopot ze sformułowaniem bóstwa Jezusa, co z definicji pociąga trudności z rozumieniem Kościoła i vice versa. Wydaje mi się, że pragnie zdefiniować chrześcijaństwo w oparciu o zewnętrzne wobec niego kryteria, dokonując selekcji według założeń teologii liberalnej w ramach tak zwanego chrześcijaństwa niedogmatycznego.

M.W.: On mówi, że trzeba wziąć w nawias tysiąc lat tradycji Kościoła po Konstantynie.

Takie myślenie, jeśli poprawnie rekonstruuje jego genealogię, ma inspirację w egzegezie liberalnej, która zdecydowanie przeciwstawiła sobie Jezusa i Kościół. Autentyczny był ruch Jezusa, ale już nie to, co przetrwało Jego śmierć. Chrześcijaństwo, a zwłaszcza jego instytucjonalna postać, czyli Kościół, najpierw wypaczył ruch Jezusa, a następnie go całkowicie zdradził, kiedy

chrześcijaństwo stało się religią państwową. W pewnym zakresie sam zgadzam się z tezą o wypaczeniu natury Kościoła wskutek edyktu mediolańskiego, ale nie jestem rzecznikiem ideologii zerwania. Poza tym wydaje mi się, że Obirek uważa, iż wszystkie religie mają tego samego Boga, a najważniejszy jest w nich humanizm.

M.L.: A czy Ksiądz zgadza się z krytyką języka Kościoła katolickiego? Zarzut brzmi tak: to język obłączonej twierdzy, to retoryka instytucji konkwistadorskiej, triumfalistycznej, to idiom imperatywny i pedagogiczny.

To zależy, czego pan słucha i w którym miejscu. Po pierwsze, taka nie jest Ewangelia, a jej głoszenie jest zadaniem Kościoła. Po drugie, nie taki był język ostatniego Soboru. Po trzecie, nawet w aspekcie nauczania dwóch ostatnich papieży jest to język bardziej zróżnicowany. Z religii nie da się wyeliminować imperatywów. Pojawia się tutaj natomiast poważniejsza kwestia, czy religia może być wolna od przemocy, jeśli uważa, że w niej znajduje się ostateczna prawda.

M.L.: Czy Kościół katolicki zmieni swój język?

Myślę, że dialog ekumeniczny z jednej strony oraz dialog międzyreligijny z drugiej pozwolą Kościołowi katolickiemu na używanie takiego języka, który zachowując wierność depozytowi wiary, będzie promował dialog. Bóg nie jest ograniczony przez religię ani się nie związał tylko z jedną. Ponieważ jednak Wcielenie miało określone miejsce, to wierzę, że chrześcijaństwo nie jest redukwalne do innych religii.

M.L.: A czy złagodzenie języka nie spowoduje, że Kościół się zmniejszy?

Wystarczy spojrzeć na religijną mapę świata, żeby zobaczyć, iż katolicyzm przechodzi przez fazę poważnych transformacji. W jednych miejscach obumiera, w innych się odradza. Przyszłość Kościoła należy do Boga. Chrześcijaństwo ma być zakwasem dla świata, a nie go zdominować. ●